

**ELIZA
ORZESZKOWA**

SZARA DOLA

Eliza Orzeszkowa

Szara dola

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843262

Szara dola:

Аннотация

Utwór, w którym Eliza Orzeszkowa podejmuje jeden z wiodących w jej twórczości motywów: ukazuje tragiczny los człowieka uzależnionego od majątnego ziemianina. Piotr Żmuda, poczciwy, prostolinijny pracownik stacji kolejowej, jest bezgranicznie oddany swojej rodzinie – żonie i córce. Kiedy w jego życie wkracza syn właściciela ziemskiego, jego losy zaczynają dramatycznie zmierzać ku osobistej tragedii. Stopniowo pozbawiony wierności żony, niewielkich zasobów materialnych i pracy, kończy jako jeden z żebraków. Atrakcyjność utworu polega na zastosowaniu przez Orzeszkową niebanalnej formy narracji; sprawozdawcą historii Piotra uczyniła postać, która sprowadziła na naiwnego kolejarza pasmo nieszczęść.

Eliza Orzeszkowa

Szara dola

Ilekoć pamięcią przenoszę się w najodleglejsze lata dzieciństwa mego, przed oczyma memi, wśród najdroższych mi i najpiękniejszych wspomnień i obrazów, migoce zawsze biały, szeroki, tu i ówdzie zielenią porosły szlak drogi pocztowej. Jak inni rodzą się nad brzegami rzeki jakiegós, tak ja urodziłem się nad brzegiem téj drogi. Biegła ona wzdłuż wielkiego cienistego ogrodu, zdobiącego dwór wiejski rodziców moich, po obu stronach jój rosły gęsto sadzone i bardzo już stare, więc wysokie i rozłożyste, brzozy, jarzębiny, klony i balsamiczne topole, a za drzewami żółciały pola, równe, rozległe, i perliły się wilgocią niskie łąki, których wiecznie omglone skraje sphywały z dalekim borem, kreślącym pod samém już niebem wielkie, siniejące półkole.

Drzewa przydrożne były wysokie i rozłożyste, ale droga była tak szeroką, że wierzchołki ich nie stykały się ze sobą wcale; owszem, pomiędzy niemi wysoko biegła wielka wstęga nieba, jakoby druga droga zwieszona nad tą, która sunęła po ziemi. W dniach pogody wstęga ta, ujęta w ramy gęstych, zielonych gałęzi, błękitną była i osianą ognistemi iskrami. Niekiedy żeglowały po niój szybko gromady białych puszystych obłoków; niekiedy téż, w niepogodę, stawała się ona szarą i wyrzeźbioną w ciemne garby i wgłębienia chmur wielkich a leniwych; nocami zaś,

oddalona zda się w niedościgłe okiem wysokości, stroiła się w gwiazdy, lub czarna, posepna, niema, wyglądała jak wejście do zwróconej otworem ku ziemi niezgłębionej otchłani. Po jednej stronie, daleko, pod samym już skrajem widnokregu, wznosiły się codziennie o zachodzie słońca zamki ogniste. Wierzchołki ich, umalowane purpurą i fioletem, rzucały na drogę łuny różowe, a złote podnóża rozlewały po polu morze blasków, które obijało się o stopy drzew przydrożnych i na każdym ich liściu składało iskrę. Północna zato strona drogi stanowiła z zachodnią przeciwieństwo zupełne. Tam, w najpogodniejsze nawet wieczory letnie, mglisto było i posepnie; pomiędzy dwoma rzędami drzew zwisał szmat nieba, głęboki a bezpromienny, niby zasłona, okrywająca daleką jakąś a tajemniczą krainę smutku, cieniów i milczenia.

Piękna droga ta, poważna i milcząca niekiedy, bywała też często ożywioną wielce i ludną. W porze bowiem, w której koleje żelazne nie istniały jeszcze w kraju naszym, stanowiła ona główną arterią komunikacyjną, przerywaną wśród pól, wzgórz, lasów, miast i wiosek łono kilkuset milowej przestrzeni, i dwoma końcami swemi dotykającą dwóch stolic. W dzień też, czy w nocy, nie było prawie godziny jednej, w której-by nie rozlegały się wśród niej dzwonki pocztowe, turkoty kół, rzenie koni i gwary głosów ludzkich.

Było tam tedy miejsce pewne, tuż naprzeciw ogrodu naszego położone, gdzie rozstępowały się, gęsto gdzieindziej rosnące, drzewa przydrożne, a wśród dość znacznej, wolnej od nich

przestrzeni, wznosiła się stacya pocztowa.

Był to dom niewielki, śnieżysto biały, z gontowym dachem, z kilku dużemi widnemi oknami, z gankiem, wspartym na czterech słupach i z dwóch stron ocienionym kratą zieloną, po której wily się biało i liliowo kwitnące powoje. Nizkie zielone sztachety, za któremi wzrastały grube krzaki bzów, róż i jaśminów, oddziaływały dom ten od drogi, po drugiej zaś stronie jego znajdowało się wielkie podwórze, otoczone stajniami i wozowniami, a z jednej strony dotykające dość obszernego ogrodu, który był na-pół warzywnym, na-pół owocowym. Dalej, o paręset kroków od pocztowego budynku, ogródkami otoczone stały nad brzegiem drogi domki pocztylionów i rzemieślników różnych; w cieniu kilku grusz dzikich, nigdy niegasnącemi, czerwonemi połyski błyskała kuźnia; za kuźnią zaś szklila się, głębokim rowem z drogą rozdzielona, duża sadzawka, na której nieruchomą powierzchnią, wypływały rozstrzępione kielichy i długie, wąskie liście roślin wodnych, a u której brzegów siadywały żony pocztylionów i rzemieślników, pralnikami głośno o toń spokojną bijąc, dzieci czepiały się po kalinowych krzakach, a smutne brzozy płaczącemi gałęźmi muskały wilgotną murawę.

Wszystko to razem stanowiło rodzaj osady, porządnie zabudowanej, ludnej, czynnej i ruchu pełnej. Ale za sadzawką z jednej strony, a ostatnim domkiem z drugiej, rozpoczynały się znowu dwa gęste, wysokie szeregi brzoź, klonów i topoli, a wśród nich biała droga, samotna już znowu, poważna i cicha, sunęła dalej ku tej stronie północnej, gdzie nie strzelał nigdy promień

żaden, a niebo splotywało ku ziemi, ciężkie, szare, smutne.

Owóz, z obrazem pocztowej stacyi i wszystkiego, co ją otaczało, w pamięci mojej wiąże się ściśle wspomnienie człowieka, który, gdy tylko wśród drogi zajęczał dzwonek i zaturkotały koła, zjawiał się na ganku białego domku, w mundurze z błyszczącymi guzami urzędowo opięty i całą postać swą do urzędowej sztywności i powagi nastrajający widocznie, ale zawsze bez powodzenia najmniejszego.

Był to nadzorca stacyi – Piotr Żminda.

Odkąd zapamiętać mogłem samego siebie, pamiętałem też i Piotra Żmindę; objął on bowiem stanowisko swoje nieco przed moim przyjściem na świat, a gdy miałem czternaście lat wieku i bawiłem się raz w pocztowym ogródku z młodszą o wiele córką Żmindy, Salusią, słyszałem, jak mówił on raz do żony rymarza, agrest z krzaków obierającój:

– Ot, czy wie pani Jerzowa, że dziś to już wypada piętnastoletnia rocznica przyjazdu mego tutaj!

Na co pani Jerzowa, podnosząc z nad agrestów twarz puciołowatą i uśmiechniętą, odparła z ogromnym zdziwieniem:

– Być nie może! a ot zdaje się, jakby to wczoraj było!

Potém zaś dodała.

– Daj Boże drugich piętnastu razem doczekać!

– Daj Boże! – zwykłym sobie, powolnym sposobem, odpowiedział Żminda; poczem zaraz, odrywając wzrok od wielkiej georginii, którą lubując się widocznie, z nadzwyczajną starannością podpierał i podlewał, spojrzenie swe zatrzymał na

złotowłosej główce Salusi, w tej chwili właśnie zajętej wraz ze mną okładaniem kamuszkami fantastycznego jakiegoś klombu i, uśmiechając się, rzekł:

– Za piętnaście lat! ho, ho! moja pani Jerzowa! wiele wody przez ten czas upłynie! moja Salusia będzie już pewno zamężną!

– Pewno – potwierdziła pani Jerzowa i dodała – da Pan Bóg, że i wnuki już będą!

Na te słowa Piotr Żminda, który pod stopy georginii swych lał z konwi perlisy strumień wody, uśmiechnął się tak już widocznie i tak rozpromienionymi oczyma w przestrzeń spojrzął, że, jakkolwiek jeszcze byłem dzieckiem, pomyślałem sobie, iż musiał się czegoś bardzo ucieszyć.

– Tak, tak! pani Jerzowa – mówił dalej, nachylając się i wrywając z klombu niepotrzebną jakąś trawę – może Bóg pozwoli, że będę kiedyś dziaduniem!

Przy ostatnim wyrazie zaśmiał się głośno. Kobieta, zrywająca agrest, zawtórowała mu śmiechem i, coraz dalej zagłębiając się w kolczate krzaki, zawołała:

– Widzi mi się, że jegomość będziesz już wtedy dobrze stary! Żminda wyprostował się.

– Stary? – powtórzył – a no, tak! za piętnaście lat będę miał coś więcej, niż sześćdziesiątkę! To i cóż? albo to taki wielki strach na starość? Kiedy człowiek uczciwie całe życie przeżył i nic złego na sumieniu nie ma, to i siądzie sobie, siwiuteńki jak gołąb, u ciepłego pieca, a córka i zięć usługiwać mu będą. Wnuków tylko na kolanach trzymaj, cacka im z drzewa strugaj

i pilnuj, aby które nosa sobie gdzie nie stłukło. To w zimie. A w lecie... człek sobie na słońko wylezie i, ot do tego drzewa, które sam sadił i wyhodował, stare plecy przyparłszy, pacierze za dzieci mówić będzie...

Takimi były marzenia o starości Piotra Żmindy.

Utkwiły mi w pamięci z tego głównie powodu, że gdy on wypowiadał je głośno, pani Jerzowa była już daleko, kędyś w końcu ogrodu, a Żminda zdawał się mówić do samego siebie. W tej samej jednak chwili, z dala, z dala jeszcze, odezwał się na drodze dzwonek pocztowy. Żminda z pośpiechem wielkim postawił konew na ziemi i, biegnąc ścieżką, ku podwórzu wiodącą, zdejmować już począł szary swój płócienny, ziemią posypany, surdut. Na odgłos dzwonka zerwała się też z ziemi mała Salusia i pobiegła za ojcem. Wiadomém to bowiem było powszechnie, że ojciec i córka nie rozstawali się z sobą ani na chwilę. Jakoż gdy, w kilka minut potem, Piotr Żminda wyszedł na ganek pocztowego domu, już w mundur swój ściśle opięty i z niezmierną powagą witający wysiadającego z bryczki podróżnego jakiegoś – mała Salusia stała za ojcem i w ściśniętej piąstce trzymała jeden z błyszczących jego guzów. Ile razy zwrócił się w jaką stronę, dziecię, obracało się z nim razem, tak jak on powolne, prostujące się i poważne.

Powierzchnowość Żmindy przedstawiała szczególność pewną, rzadko pomiędzy normalnie rozwiniętymi ludźmi spotykaną. Wysoki, barczysty i bardzo silny na pozór, posiadał on cerę twarzy żółtawo-błądą i chorobliwie jakby nabrzmiąłą.

Oczy jego, okrągłe, wypukłe, z błękitną, łagodnie patrzącą źrenicą, miały wyraz sennego jakby omdlenia, na całą fizyognomią jego rzucający cechę pewnej głupowatości. A jednak nie można było wcale nazwać go głupcem. Przeciwnie, obowiązki, do miejsca, które zajmował, przywiązane, pełnił on z wielką punktualnością a nawet pedanterią, rozmawiając zaś z ludźmi mówił powoli bardzo, z widocznym wysileniem szukał w głowie swój myśli i wyrazów, nigdy jednak nie wypowiedział nic niedorzecznego, lecz przeciwnie wyrażał się jasno i rozsądnie. Cała zresztą postać jego miała pozór ociężały i leniwy. Patrząc na niego, można-by rzec, iż był próżniakiem i ospalcem; a przecież pracował nieustannie, to nad księgami swemi z piórem w rękę, to w ogrodzie z motyką, nożycami i konwią; wstawał ze snu przed wschodem słońca, a nocami sypiał tak czujnie, że każde odezwanie się dzwonka u pocztowego zajazdu znajdowało go obudzonym i w mundur urzędowy opiętym.

Chorobliwe to, głupowate i senne wyglądanie człowieka silnie zbudowanego, rozsądnego i pracowitego, zwracało ciekawą uwagę mego ojca, który lubił Żmindę, a jako właściciel gruntu, na którym stały budynki pocztowe, miewał z nim częste i życzliwe stosunki.

Pamiętam wybornie, jak trzy razy w tygodniu, w porze, w której cała rodzina nasza zgromadzała się dokoła śniadania, Żminda z punktualnością zegarka wchodził do sali jadalnej, przynosząc ojcu memu nadeszłe pocztą listy i dzienniki. Przynoszenie to nie należało bynajmniej do obowiązków jego,

lecz było tylko szczególnym ze strony jego objawem szacunku i zyczliwości, dla ojca mego uczuwanój. Już to w ogólności dla obywateli wiejskich Żminda wielkie okazywał uszanowanie. Wyraz **obywatel** posiadał w umyśle jego znaczenie idealnej jakiejś a wszechstronnej nad innymi ludźmi wyższości. Nie idzie przecież za tém, aby wobec ludzi tych, tak bardzo przez się poważanych, był on zbyt pokornym i uniżonym. Owszem, barczysta i ciężka postać jego nie zginała się nigdy ukłonami niskimi, z ust poruszających się powoli nie wychodziły nigdy żadne prośby ni pochlebstwa. Miał on zawsze postawę i minę człowieka, który wobec nikogo nie poczuwa się do winy żadnej i od nikogo niczego wcale nie potrzebuje. Tylko głos jego stawał się miększym jakoś i niższym, niż zwykle, gdy rozmawiał on z **obywatelem**, a żółtawe i nabrzmiałe policzki rumieniły się lekko gniewem, ilekroć usłyszał zarzut jakiś, komukolwiek do klasy téj należącemu, czyniony.

Owóż, razu pewnego, gdy, w dniu przybycia poczty listowój, Żminda, jak zwykle, wszedł do naszej sali jadalnej z grubym pakietem listów i dzienników w ręku, ojciec mój, zaprosiwszy go do stołu, przy którym siedzieliśmy wszyscy, troskliwie zapytał:

– Źle mi coś dziś wyglądasz, panie Żminda? czy nie jesteś słabym?

– Dziękuję panu – odparł Żminda – ale ja zdrow jestem zupełnie, tylko przychodzą na mnie takie dni jakieś, że w uszach mi szumi, jak we młynie, i ręce trzęsą się trochę... ale to bywa przez kilka dni tylko... później przechodzi...

– Ale od czegoż-by to było – zapytał mój ojciec.

Żminda uśmiechnął się zwykłym sobie uśmiechem, w którym obok zupełnego spokoju było jednak coś smutnego, i odpowiedział z wolna:

– Ja myślę, proszę pana, że to od tego maku...

– Jakto od maku? – zapytaliśmy chórem...

– Widzą państwo – mówił, uśmiechając się wciąż nadzorca stacyi, – bo ja, dzieckiem będąc, wiele bardzo maku jadłem.

– Ależ poco? dlaczego?

– Długa to historia.

– Opowiedz nam ją, panie Żminda – rzekł mój ojciec.

Żminda nie miał nic do odmówienia **obywatelowi**, a jeszcze takiemu, z którym, jak z ojcem moim, w blizkich był i dawnych stosunkach.

Po dość długiém więc milczeniu, w czasie którego z trudnością widoczną skupiał myśli i zbierał w głowie swój wyrazy, zwrócił na ojca mego spojrzenie oczu swych wypukłych, sennych trochę a bardzo łagodnych, i zaczął w ten sposób:

– Pan dobrodzięj wie, że ja pochodzę z okolicy szlacheckiej Żmindów, co to o trzy wiorsty ztąd...

– Wiemy, wiemy! – odezwaliśmy się oboje z siostrą, szlachecka okolica bowiem, o której mówił Żminda, przywoływała nam na pamięć bardzo miłe wspomnienia. Mijaliśmy ją zawsze, ilekroć z rodzicami i gośćmi jechaliśmy do poblizkiego lasu na majówki i grzybobrań, a składające ją domki szlacheckie, niskie, szare, otoczone ogródkami, w

których kwitły nagietki i piwonie, tkwiły nam dobrze w pamięci.

– Otóż – prawił dalej Żminda – ojciec mój, świeć panie nad jego duszą, posiadał w okolicy kawał gruntu niewielki i lichy. Piaski to były... kartofle tylko i gryka dobrze na nich rosły, żyto zaś marniało, a o pszenicy to tam u nas i słychu nigdy żadnego nie było. Wszelako, dopóki żyła matka moja, świeć panie nad jęj duszą, bieda choć była, ale nie tak to bardzo wielka. Ludzie gadają, że nieboszczka moja matka doskonałą była gospodynią, ale ja o tém ze słyszenia tylko wiem, od ludzi, bo Pan Bóg ją do chwały swojej zabrał wtedy, kiedy ja rok tylko życia miałem. Dwóch starszych braci miałem i siostrę, ale poumierali wszyscy. Po śmierci matki zostałem u ojca sam. Co tu robić mężczyźnie z takiem małym dzieckiem, a i z gospodarstwem także? Pan dobrodziej wie, że w szlacheckiej zagrodzie bez gospodyni, ani rusz. Tedy – w rok niespełna po śmierci nieboszczki matki, ojciec ożenił się. Wziął sobie ekonomską córkę z Wojatycz od pana Woińskiego. Ludzie mówią, że hoża to była kobieta, pracowita i nawet edukowana trochę! Ale może i dla tęg-to edukacyi, z przeproszeniem pańskim, licha wartęj zapewne, ubogi stan szlachecki do smaku jęj nie przypadł. Okrutnie była zawsze zła. Robiłać to, robiła ona wszystko, co trzeba było, ale z wyrzekaniem, fukaniem i **złowaniem** wielkiem. Mnie to tak już od razu znieawidziła. Po prawdzie tęg dziecko było ze mnie krzykliwe podobno i żywe, jak konik polny. Cały dzień bywało pełzam, albo skaczę po izbie, pod nogi ludziom włązę i naprzykrzam się starszym ogromnie. Nocami zaś budziłem się

często i krzyczałem na całą chatę, sam nie wiedząc czego, ot zwyczajnie, jak dziecko, któremu w głowie czy sercu majaczyła tęsknota jakaś za matczyną piersią, coby go w ciemnościach nocnych ku sobie przygarnęła.

Macocha płaczów tych moich i krzyków nocnych znieść nie mogła. Mówiła, że jój to zdrowie odbiera, choć Bogiem a prawdą, kiedy Bóg dał jój własne dzieci, a krzykliwsze jeszcze ode mnie, nic jój wcale wrzaski ich nie szkodziły. Owszem, im więcej krzyczało, tém więcej je całowała i na rękach kołysała. Ale ze mną, zwyczajnie jak z pasierbem, było inaczej. Ażebym jój nocami nie budził, dawała mi co wieczór napój jakiś, który ja chciwie piłem, bo zasłodzony był i smaczny. Czy zaś zgadnie pan dobrodziej, z czego napój ten był zrobiony? Ot dowiedziałem się później już, że z maku i konopi. Bywało, jak napoi mię nim macocha, to śpię jak kamień przez noc całą, a i z rana jeszcze obudzić się nie mogę, choć w chacie ruch wielki, w piecowisku ogień trzaska, woda przy ogniu kipi, dziewczka kartofle skrobie, ojciec drzewo rąbie, a macocha wieprza karmi, zrzędzi i wyklina. A jak bywało ocknę się już z tego snu makowego, to głowina jakby kamień ciężka i przez dzień cały nie hasam już i nie hałasuję, jak dawniej, ale cichutko, niby trusia, siedzę pod piecem, oczy wytrzeszczając, a wszystko jak przez mgłę jakąś widząc. Było tak długo – miałem już pięć lat może, kiedy macocha, krzyku mego lękając się, ciągle mię tym sposobem do cichości przymuszała. Ale nie na tém jeszcze koniec historyi o maku. Jadłem ci ja go jeszcze później dużo, a to już z własnej

niby woli – czyli raczej – z głodu. Jeść mi nie dawała. Wyjdzie bywało w pole do żniwa i dzieci swoje ze sobą zabierze, a dla nich i dla siebie garnki pełne żywności niesie. Ale mnie zostawiała w chacie bez okruszyny pożywienia jakiegokolwiek. Więc ja, w koszulkę grubą odziany, boso – do ogrodu! A w ogrodzie co? Gruszek i jabłek u nas nie było, tylko wiśni moc wielka. Ale wysoko one były i prędko kończyły się. Marchew albo burak, wykopany z zagonu, rzecz to dobra, ale i kopać niebardzo miałem siłę, i bałem się okropnie, aby dziury w zagonie macocha nie zobaczyła i nie domyśliła się, jaki to kret ją wykopał. Więc ja do maku. A maku siała ona wiele w ogrodzie i potem drogo sprzedawała. Włazę sobie tedy pomiędzy gęsty las łodyg makowych i leżę na wążutkiej miedzy godzinami całymi, a co moment makówkę dojrzałą zerwę i ziarna z niej do ust sobie wsypię. Nie wszystkie one dojrzewały od razu. Były takie, co kwitły jeszcze, wtedy gdy inne żółciały już i schły. Otóż mnie i kwiaty podobały się bardzo. Już to zawsze lubiłem kwiaty. Leżę bywało w gęstwinie i patrzę, jak przez zieloność niebo błękitne prześwieca, a na niém migają wiatrem poruszane różowe i ponsowe strzępiaste maki. Czasem, jak wiatr mocniej powieje, to który z nich się osypie i deszczem niby mięciutkich liści twarz mi zarzuci. Ja wtedy, przestawszy patrzeć na niebo i na czerwone maki, rękę wyciągam i znów makówkę zrywam. Zrywałem czasem i niedojrzałe, ale, że jeść chciałem potężnie, więc i tę białą miazgę, co to, nim ziarna zrobią się, napęlnia łupinę – zjadałem...

– Ależ to szczęście prawdziwe, żeś się pan temi makówkami nie otruł – przerwał ojciec mój, którego opowiadanie Żminda na-pół śmieszyło, na-pół rozrzewniało.

– Nie przyszło jakoś do tego – odpowiedział z uśmiechem, – ale ot pewny jestem, że mi te traktamenta macoszyne na całe życie pamiątkę zostawiły. Ten szum w uszach i to drzenie rąk od najpiérwszej młodości, to przychodzi mi, to przechodzi. Przytém już i tę moję żywość dawniejszą na zawsze straciłem, i myśli w głowie rozlatują się czasem niby suche liście, tak, że nim złapię którą, to się dobrze namęcę. Ale ludzie mówią, że i tak dobrze; bo mogłem od tych makowych wieczerzy i obiadów całkiem rozum stracić. Dzięki Bogu i za to, że mi go choć tyle zostawił, iż żyć uczciwie mogę, a żonę i dziecko pracą moją wyżywić...

Rzekłszy to, Żminda, powstał i, zapiąwszy guzy mundura aż po samą szyję, oddawał ojcu memu ukłon pełen uszanowania, ale tak poważny, jakby go myśl w ostatnich wyrazach zawarta napełniała uczuciem spokojnej i pewnej siebie osobistej godności.

– Dlaczego, panie Żminda, nie przyjdiesz do nas kiedy na dłużej, wieczorem może, na herbatę i parę godzin pogawędki? – uprzejmie wymówił mój ojciec.

Żminda uklonił się powtórnie, widoczne zadowolenie twarz mu rozkwieciło.

– Dziękuję, panu dobrodziejowi, z całego serca dziękuję! – odparł. – Radbym bardzo... byłby to dla mnie honor wielki... ale nie mogę. Pan dobrodziej wie... obowiązek... służba! Jak

dzwonek odezwie się na gościńcu, stawać muszę do obowiązku mego, jak żołnierz do broni!

Wyrzekł to z nadzwyczajnym przejęciem się, senne oczy jego nawet błysnęły żywiej, jakby pod wpływem zapachu.

– No, powiedz mi, panie Żminda – uśmiechając się mówił mój ojciec – czy choć-by raz jeden przez te lat piętnaście nie stawiałeś się do apelu – to jest nie przywdziałeś munduru i nie wyszedłeś na spotkanie przybywającego gościa?

Żminda uczynił rękoma i ramionami poruszenie, jak na flegmatyczny i ociężały układ jego, nader żywe.

– Ani razu! – zawołał – ani razu nie zdarzyło mi się nic podobnego! było-by to z ubliżeniem dla mnie!... podróznego spotkać... pieniądze za **prohony** odebrać... w księgę zapisać, co należy, toż to obowiązek mój, z którego ja, żona moja i dziecko chleb jemy..! Był-bym, panie dobrodzieju, nie przymierzając, złodziejem, gdybym chleb jadł, a obowiązku mego nie spełniał.

Po tych słowach, Żminda skłonił się raz jeszcze i stanowczo już pokój miał opuścić, gdy uchyliły się drzwi od przedpokoju i nieśmiało trochę wyjrzała przez nie głowa kobieca, młoda, ładna, strojna w czarne warkocze i czepeczek z żółtymi wstążkami.

– Najpokorniej przepraszam łaskawych państwa – wymówiła łagodna główka ta dość dźwięcznym, trochę tylko zbyt cienkim i wypieszczonym głosikiem – po tysiąc razy przepraszam, ale przyszłam zobaczyć, czy niema tu mojej Saluni!

– Saluni powiedziałem, żeby czekała na mnie na dziedzińcu

– zwracając się ku wyglądającej ze drzwi głowie kobiecój, wymówił Żminda, poczem, wyraźnie zakłopotany, postąpił ku drzwiom i ciszej, tonem nieśmiałego upomnienia, rzekł:

– Poco tu zawsze chodzisz za mną, Emilko? – uprzykrzasz się państwu...

– Ale owszem, owszem! – zawołała grzecznie moja matka – prosimy panią Żmindową, bardzo prosimy! Przyszły tu właśnie nowe dzienniki mód, może pani zechcesz popatrzeć na nie z nami!

Pani Emilia Żmindowa nie dała sobie po dwa razy powtarzać zaproszenia tego. Wbiegła do pokoju i kilku fertycznymi skokami była już przy mojej matce, nad której ramieniem pochyliła się zbyt nisko.

Nie widziałem w życiu sprzeciwieństwa większego, jak to, które zachodziło pomiędzy Piotrem Żmindą a jego żoną. Malutka, zgrabna, nadzwyczaj żywa, szeleszcząca zawsze krochmalnymi sukniami i barwnymi wstążkami czepeczka, ze ściągłą swą twarzyczką, bladawą i namiętą, z czarném okiem, iskrzącém się i ruchliwém, Emilia Żmindowa wyglądała przy swym barczystym, ciężkim, powolnym mężu, jak motyl, fruujący dokoła łopuchowego liścia, jak płomyk, wijący się i tryskający iskrami obok ciężko toczącej się i mętnej nieco wody. Mówiła wiele i prędko; śmiejąc się, ukazywała z za warg różowych dwa rzędy perłowych ząbków. Do dworu przybiegała często. Wabiły ją tutaj stroje matki mojej, którym dość napatrzeć się nigdy nie mogła i które naśladować usiłowała; dzienniki

mód, które wprawiały ją w zachwyt niewymowny; najbardziej zaś może spojrzenia i ukłony młodych oficyalistów, których po drodze spotykała na dziedzińcu i u oficyn, a których hołdami nie gardziła bynajmniej.

Pretextem, którym posługiwała się najczęściej, aby wejść do pokojów dworskich, było dowiadywanie się o Salusię. Skoro jednak raz znalazła się obok mojej matki, z którą rozmowa i znajomość pochlebiały jej niezmiernie, a w dodatku ujrzała leżące na stole wzory modnych ubiorów, przestawała troszczyć się o dziecko, szczebiotała, zachwycała się i całowała bez końca ręce matki mojej, która lubiła ładną jej buzię, bawiła się nią trochę, a przez wzgląd na ucziwego jej męża, okazywała jej wiele uprzejmości.

I tym razem także pani Żmindowa, usiadłszy na brzeżku krzesła i, niby wachlarzem, chłodząc zmęczoną twarz swą cieniutką płócienną chusteczką, głośne bardzo i nieco piskliwe wykrzyki wydawała na widok dwóch, na żurnalu wymalowanych, bombiastych i barwistych sukien.

Żminda zaś, opuściwszy sień domu, spotkał się natychmiast ze swoją Salusią, która oczekiwała na niego, cichutko i nieruchomie u jednej topoli stojąc i gruby pień drzewa rączkami obejmując. Ujrzawszy ojca, dziecię nie rzuciło się ku niemu w poskokach i z okrzykiem, ale podeszło do niego zwolna, milcząc, i piąsteczką za jeden z guzów mundura jego pochwyciwszy, szło dalej już z nim razem, z tyłu nieco trzymając się i drobnymi stopkami, ładnie obutymi, szybko po murawie dziedzińca przebiegając.

Zaledwie jednak para ta połowy dziedzińca dosięgnęła, gdy w oddali o pół wiorsty, a może i o wiorstę jeszcze, jęknął kędyś dzwonek pocztowy. Pod stopy Żmindy jakby kto nagle minę podłożył, tak żywo podnosić je zaczął z nad ziemi. Śpieszył, biegł, śpieszyło i biegło za nim dziecko, ale, szerokiemu krokowi jego nadażyć nie mogąc, wypuściło z rączki guzik ojcowski i stanęło, jak wryte, ust nie otwierając, tylko oba ramiona powolnym ruchem wyciągając za ojcem. Można-by rzec, iż pomimo pośpiechu, Żminda uczuł oderwanie się od niego dziecka, bo, nie przystając jednak ani na chwilę, zwrócił się, pochwycił je na ręce i, z tym ciężarem już biegnąc szybko a ciężko, zniknął wnet w wiodącej ku pocztowej stacyi ogrodowej alei.

Pani Żmindowa tymczasem nie myślała wcale o mężu i dziecku i ani słyszała dzwonka, który bardzo wyraźnie jednak dawał się słyszeć w pokoju, gdzieśmy siedzieli wszyscy.

– Ach! pani moja droga! – mówiła – splatając ogorzałe lecz małe i zgrabne swe rączki – pani moja droga! jakie to wszystko ładne! jacy to szczęśliwi ludzie, którzy żyją na takim wielkim świecie i tak ładnie mieszkać i ubierać się mogą!

Myśl o wielkim świecie nasuniętą została pani Żmindowej przez wielki arkusz żurnalowy, przedstawiający salon, pełen festonów jakichś kwiatów, taburetów i balowo przystrojonych, ckliwie uśmiechających się figurek.

Matka moja, która, o ile mogła, usiłowała miarkować płochość i zalotność małej kobietki, filozoficznie odparła:

– Nie wierz w to ani trochę, moja pani Żmindowa, ażeby ludzie, żyjący na wielkim świecie, szczęśliwymi koniecznie być mieli. Ja, co znam świat ten, mogę cię upewnić, że, w wiejskiej ustroni swój i w skromnym swym bycie, jesteś bez porównania szczęśliwszą od niejednej wielkiej damy.

Czarne oczy Żmindowej zamigotały żywo. Lekki rumieniec gniewu, czy rozżalenia, oblał bladawe jój policzki.

– Pani droga! – szepnęła z westchnieniem – a gdzież to szczęście moje? Młodość całą przesiedzieć tak w kącie zapadłym i świata Bożego nie widzieć... czy to miło? A kiedy jeszcze przypomną sobie przeszłość i pomyślę, jak to u ojca mego bywało... kim byłam, a kim teraz jestem!

– Jesteś żoną rozsądnego i uczciwego człowieka, którego lubimy i szanujemy wszyscy – pochwyliła moja matka.

Coś na kształt nerwowego stłumionego śmiechu, czy łkania, wstrząsnęło szczupłą postacią kobiety. Pałające oczy jój przykryły się ciemną długą powieką.

– Uczciwy to on, pani moja... – szeptała coraz ciszej – uczciwy i dobry człek... szanuje mię... ani słowa przeciw temu rzec nie mogę... alem ja obywatelska córka, pani droga... lepsze czasy znałam... w innej zupełnie pozycji byłam... Przymóm... ośmnastu lat nie miałam, kiedy mię wziął, sam ich czterdzieści z czubem mając...

– Obywatelską córką jesteś, to prawda – perswadowała moja matka – ale ojciec twój nie był nigdy bogatym i teraz to już wyobrażasz sobie tylko, że tam u was takie świetności były.

Folwarczek dziesięciochatowy, na którym sześcioro rodzeństwa siedzi, nie jest wcale bogactwem żadnym...

Słuchając słów tych, Żmindowa zacięła kształtne swe, blade różowe wargi. W tej chwili cała drobna twarz jej przybrała wyraz na-pół gniewnego, na-pół bolesnego rozjątrzenia. Zdawało się na razie, że wybuchnie gniewem czy płaczem; powściągnęła się jednak i tylko przez zaciśnięte zęby szepnęła:

– Zawsze to jednak, co obywatel, to nie jakiś pocztylion...

– Mąż twój nie jest przecież pocztylionem...

– Ale był nim przez lat 15! Wszyscy ludzie pamiętają, jak biegał po mieście, listy roznosząc...

– Tém większy to zaszczyt dla niego, że z biedy wielkiój wybrnąć potrafił a teraz wcale przyzwoite i korzystne zajmuje miejsce...

– E! pani droga! dźwignęli go dobrzy ludzie. Pan Woński wziął go z okolicy od macochy, co go biła i głodem morzyła, do szkół go oddał i do kancelaryi pocztowej, a potem protegował... na moję biedę...

Im dłużej trwała rozmowa ta, tém silniój zaciskały się zgrabne i małe, na kolanach złożone, ręce Żmindowej. Mówiła prędko, ale głosem stłumionym i ciężkim. Widoczném było, że z całej siły hamowała rozrywający pierś jej wybuch głosu.

Matka moja patrzyła na rozjątrzoną kobietę z litością i niezadowoleniem.

– Wierzaj mi, kochanko – rzekła z powagą – iż powinnaś zapomnieć o swém byłém obywatelstwie i pogodzić się ze swym

losem...

– Pogodzić się! – z ciężkością szepnęła kobieta. – Trudno! czy ja właśnie kochałam go, gdym szła za niego?

– Po cóż więc szłaś?

– Chleba nie miałam, pani moja! źli bracia z domu wypędzili... żeby ich tak Pan Bóg od chwały swojej odpędził!...

– Wstydz się! wstydz się, Emilko! – zawołała moja matka – braci rodzonych przeklinać! czy wiesz, że to okropne! i nie dowodzisz tém wcale téj pięknej edukacyi, którą tak chwalisz się zawsze. Nie spodziewałam się, abyś do tego stopnia nie lubić mogła swego uczciwego męża...

Matka moja nie domówiła jeszcze tych wyrazów, gdy Zmindowa osunęła się z krzesła i, tuląc do kolan jéj głowę swą, strojną w żółty czepeczek, spazmatycznym wybuchnęła płaczem. Pękły nakoniec w piersi jéj wszelkie tamy, wołą stawiane, i po półgodzinném powściągnięciu się, nerwowa ta i namiętna natura wybuchnęła łzami i wykrzykami.

– Pani moja! – wołała, łkając – nie gniewaj się na mnie! ja panią kocham i szanuję jak matkę! wszystko przed nią powiedzieć gotowam! Ja nie wiem czasem sama, co się ze mną dzieje! Na cały świat zła jestem! Szatan jakiś siedzi we mnie! Czasem uspokoję się trochę, ale znowu przychodzi taki dzień, że gdyby nie bojaźń sądu Bożego, to-bym się na piérwszém lepszém drzewie obwiesiła! Cóż ja na to poradzę, że mi z nim życie obrzydło. To wół, pani droga! to muł! taki stary i ciężki. Nim on krok jeden zrobi jabym pół świata obleciała; nim słowo

wymówi, jabym całe kazanie księdza proboszcza na pamięć wyrecytowała! Ognia z wodą nie pogodzić, pani droga! serca młodego w kajdany nie okuć! Trudno!

– A dziecko? – szepnęła moja matka, – wszak masz dziecko, Emilio!

Żmindowa, siedząc wciąż na ziemi, łzy z twarzy ocierała.

– Dziecko! – powtórzyła cicho, – do niego podobne! ni to żyje, ni to nie żyje! Taki sam muł z niój będzie, jak i ojciec!

Przez dobry kwadrans jeszcze matka moja napominała i do upamiętania się wzywała klęczącą u kolan jój kobiętę; a gdy nakoniec, odwołana przez kogoś z domowych, pokój opuściła, Żmindowa podniosła się z ziemi i, z szelestem krochmalnej sukni, gwałtownie, we wzburzeniu wielkiem i widoczném, wbiegła w prowadzącą ku pocztowej drodze, ogródkową aleję. Tam zaczęła iść powolnym i chwiejącym się krokiem. Spoglądała niekiedy w niebo. Wzdychała. Cała drobna postać jój zdawała się być w onej chwili wcieleniem głębokiej melancholii i nieuleczalnej tęsknoty.

Ale kroki powolnej a smętnej kobiety oddawna już snadź śledzone były przez Wawrzyńca Śnidkę, prowentowego pisarza naszego. Był to bardzo przystojny, a bardziej jeszcze czuły kawaler, z wypomadowanemi do obrzydliwości kędziorami, z miodowo-słodkim wzrokiem i z turkusowym pierścieniem na palcu. Poczciwy zresztą chłopak ten dzielnie dosiadał konia, tańce passyami lubił, wiersze pisał, a w poetycznym nastroju ducha swego, nie mogąc znieść prozaicznego imienia:

Wawrzyniec, prosił, a komu mógł i rozkazywał, aby go nazywano panem Laurentym.

Owóz widziałem z dala, jak pan Laurenty u końca ogrodowej alei zaszedł drogę kobiecie, idącej smutnie i powoli, i z pełnym gracyi ukłonem uchylił przed nią zgrabną czapeczkę. Ona odpowiedziała mu ukłonem i uśmiechem. Jakby za dotknięciem czarnoksiężkiéj różdżki, twarz jéj z ponurój stała się ożywioną i zalotną. Z furtki ogrodowej wyszli razem na drogę pocztową, a nie upłynęło dwie minuty, jak za ogrodowemi sztachetami brzmiał w letniém rozśłonecznioném powietrzu dźwięczny, przeciągły, zalotny śmiech kobiecy.

Jakiemikolwiek jednak były uczucia dla męża ładnéj pani Emilii, Żminda zdawał się o nich nic wcale nie wiedzieć. Obchodził się on z nią z tą poważną łagodnością, która cechowała go ogólnie w obejściu się z ludźmi, niekiedy nawet wyglądał wobec niéj na-pół jakby nieśmiałym, na-pół nią dumnym. Poszanowanie, jakie miał dla niéj, dochodziło nawet do tego stopnia, że, aby oszczędzić jéj trudów wszelakich, trzymał służącą, co przy malutkiém gospodarstwie i niewielkich dochodach stanowiło już nawet pewien rodzaj zbytku. Wysokie to uszanowanie spokoju jéj i dobrobytu miało ten skutek, że pani Emilia całe Boże dni i całe okrągłe lata nic a nic nie robiła. Ojciec mój, który, jak wszyscy zresztą, wiedział dobrze o próżnych i niebezpiecznie gwałtownych usposobieniach młodéj kobiety, rzekł raz do Żmindy:

– Dlaczego nie zachęcisz pan żony swéj do zajęcia jakiego?

Bezczylnie takie przesiadywanie na ganku lub w oknie domu i bieganie ustawiczne po drodze i sąsiadach niebezpiecznym być może dla młodej i żywej kobiety.

Żminda zdumionemi oczyma spojrział w twarz ojca.

– Niebezpiecznym? – powtórzył. – A jakież to może być niebezpieczeństwo, proszę pana? – Uśmiechnął się i dodał:

– Alboż to dziecko? w sadzawce przecież nie utopi się...

– Zawsze jednak przykładniej było-by i korzystniej, gdyby zajęła się choć trochę gospodarstwem, szyciem...

Żminda namyślał się chwilę.

– Nie, proszę, pana, – odparł zwykłym sobie powolnym sposobem, – ja jęj do roboty zmuszać nie mogę... obywatelską córkę wziąłem... szanować ją powinienem... Przymem, proszę pana, młoda to kobieta... ja stary... niech-że choć wygodę a spokojność ma przy mnie!...

Najlżejszy cień zazdrości lub podejrzenia nie powstał mu nigdy w umyśle. Śmieli się z niego ludzie po cichu, albo litościwie wstrząsali głowami; on sam jednak czuł się widocznie uszczęśliwionym, ile razy fertyczna i zwinna żona jego bawiła kogoś z przybyłych na stacyą wykwintnych podróżnych, wesołym a niepozabawionym wdzięku szczebiotem. W czasie, gdy mąż jęj sprawdzał **podorożną**, wpisywał do książki otrzymane pieniądze i strzegł porządku a pośpieszności w zaprzęgu koni, pani Emilia w gościnnych pokojach częstowała gościa herbatą i rozmową. Zabawiany w ten sposób gość, jeżeli szczególniej młodym był i wesołym, nie śpieszył się z odjazdem, a

zdarzało się nieraz, że, odjeżdżając, nakoniec przyjaźnie rękę Żmindzie podawał, zapowiadał, że wkrótce znowu stronami temi przejeżdżać będzie i wieszował mu porządku, w jakim utrzymać umiał stacyą, nad którą, na całej długości drogi, nie było porządniejszej, gościnniejszej i miliej położonej. Pochwały te uszczęśliwiały Żmindę.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.